Rok III 6 grudnia 1931 Nr. 49

DZWONECZEK

W szpitalu.

Idę ulicą Kopernika w Krakowie w niedzielę około godziny czwartej po południu. — Iakieś tłumy ludzi starszych i młodszych wracają do miasta .. Skąd to? — pytacie... Skąd — ze szpitali różnych, które na tej ulicy szeregiem stoją, a w nich mnóstwo leży chorych — tu chorzy na choroby wewnętrzne, tam znów oddział chirurgiczny, gdzie leżą chorzy, na których dokonano różnych cięć, operacyj.



Świetlica w szkole 47. im. Anny Jagiellonki w Krakowie przy czytaniu czasopism dla dzieci.

Zmierzam do oddziału chirurgicznego, bo tam leży uczeń mój mały... Po lewej stronie od wejścia czytam napis nad drzwiami: »Oddział dla mężczyzn«... Wchodzę do środka — sala wielka, na niej trzy szeregi długie łóżek, a na nich leżą chorzy... Na naczelnem miejscu ustawiono figurę N. Serca Jezusowego — N. Marji P.... na drugiej ścianie naprzeciw wisi krzyż. — Między łóżkami przesuwają się opiekunki chorych Siostry Miłosierdzia...

Szukam tam ucznia swego, któremu auto złamało nogę wskutek wypadku... Widzę wreszcie łóżko, a na niem dwóch chłopczyków i jeden z nich to on właśnie... Uśmiecha się i wita z wdzięcznością. — Patrzę na łóżeczka — porozrzucane zabawki. — Pytam »A któż to wam przyniósł« ? — »A to panie dobre pamiętają o nas... a oto właśnie wchodzą i niosą książki do czytania dla starszych... To panie ze Sodalicji Akademiczek«...

Pytam małego »Jakże się to stało, żeś wpadł pod auto«... »A to proszę — jechały dwa auta jedno za drugiem, jedno trąbiło, a drugie nie — ja nie zauważyłem i przebiegałem na drugą stronę i stało się nieszczęście«...

Widzę jednak, że choć mały chory, ale mężnie znosi swoje cierpienie... Rozglądam się wokoło i widzę innego chłopczyka bez noska... »A to co?«... »A proszę... koń mnie tak mocno uderzył... że straciłem nos — ale mi pan doktór ze skóry i ciała na nodze zrobi nowy nos, potem mi go przeniesie na rękę, a z ręki na twarz — ale to długo trwać będzie«... I ten z pogodą ducha znosi swe cierpienie. Ciekawością i współczuciem zdjęty podchodzę do innych chorych..., sami chorzy zwracają jednak moją uwagę, bym się zbliżył do jednego chorego, którego wszyscy kochają, bo i on kocha wszystkich.

Idę więc... leży rosły mężczyzna z zamkniętemi oczyma... dowiedziałem się, że wskutek wypadku przy krótkiem spięciu błysk światła elektrycznego przyprawił go o utratę wzroku. — Przy jego łóżku dwaj chłopcy razem z nim liczą drobne pieniądze — oto jeden z objawów dobrego serca chorego — daje dzieciom chorym na łakocie... innym na inne przyjemności. — Ta korona złota na głowie figury Matki Bożej — ta figura Serca Jezusowego to jego dar... Wszczynam rozmowę... i dowiaduję się, że nasz chory myśli o zaprowadzeniu radja na sali z rozgłośnikiem i słuchawkami do każdego łóżka, że myśli o odmalowaniu kościoła dla chorych św. Łazarza... To były wojskowy i właściciel wielkich dóbr w Rosji — które to dobra oczywiście przepadły. Dziś on wskutek ślepoty uległ wypadkowi złamania kości miednicowej i skazany jest na długie leżenie. Sam chory, a myśli o innych chorych. Przy drugiej mojej wizycie u mego ucznia słyszałem z ust jego słowa uznania dla zachowania się małego leżącego teraz tuż obok niego, i dowiedziałem się o miłym i chwytającym za serce liście, który imieniem chorych napisać polecił z prezentem od siebie i chorych dla księdza kapelana w dniu jego imienin.

Wśród mnóstwa chorych zwrócił moją uwagę jeszcze młodzieniec z odjętemi nogami, które stracił przy nieszczęsnem wskakiwaniu do tramwaju w biegu...

Ale już dość napisałem... mam opuścić szpital... godzina piąta — słyszę głos siostry: »W imię Ojca i Syna i Ducha Św.«... to modlitwa wieczorna chorych... Co za wzruszający widok — jedni w postawie siedzącej, inni leżącej... wspólnie modlą się i wołają do jedynego i najlepszego Przyjaciela i Jego Matki: Zmiłuj się, módl się za nami... Wychodząc, żegnam się z moim chorym, z wdzięcznością ściska mi rękę... chwali się, że go odwiedzili rodzice i koledzy, że mu przynieśli ciastek i cukierków — Dajże Ci Boże zdrowie... i szczęśliwe zakończenie operacji... a wszystkich przyjaciół chorych niechże błogosławi Ten, Który w dzień sądu przemówi do nich »byłem chory, a odwiedziliście mnie, cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych — mnieście uczynili«...

Cóż wy, dzieci na to... czy wy pamiętacie o chorych waszych kolegach i koleżankach?... nietylko uczyć się macie religji P. Jezusa, ale ją wykonywać, to jest jego przykazanie, abyśmy się społecznie miłowali... Kochajcie bliźnich swoich także i tych tam w szpitalu...

Leon Dębiec.

Marzenie Michasia.

Tego wieczora padał śnieg z deszczem i niecierpliwie bębnił palcami po szybie. Mokry wiatr huśtał się na gałęziach i wył przeciągle, jak pies, że małemu Michasiowi ze wzruszenia wilgoć zatykała gardło.

— Ignac mówił, że mu święty Mikołaj napewno przyniesie książkę i kilo cukierków. A ja? — zamyślił się Michaś smutnie i przytknął blade czoło do szyby.

— Jaki wiater! ojoj! Dawniej, jak tata był — i ja z Frankiem jedliśmy cukierki... Oglądnął się i głowę przytrzymawszy w ramionach, zakreślił oczami łuk po izbie. Chwiały się na ścianie półkolem zawieszone obrazy i mała lampka między niemi, kopcąca żółtym, przypalonym knotem.

— Mamo!?

Na łóżku siedziała matka i plecami zgięta ku kolanom, równo, spokojnie przewtykała przez białe płótno igłę. Na środku izby wiercił się niespokojnie Franek, głową i ramionami rzucając to w tę, to w drugą stronę. O metr od niego przycupnął tłusty Murga, szeroki łeb przymilnie włożywszy między łapy i świecącemi ślepiami łapał ruch Frankowej ręki. A Franek długą słomę trzymał na uwięzi... — No, Murga! — i momentalnie zataczał ręką koło. Murga wtedy wyskakiwał i odbiwszy się tylnemi piętami od ziemi, do przodu wysuniętym łbem ścigał ślad uciekającej słomki.

— Oj! oj! jaki wiater! jaki wiater! Ignac mówił, że kilo cukierków... — Oderwał Michaś zmięte ręce od kolan i nachylając się głową do przodu spytał: — Mamo! czy rzeczywiście święty Mikołaj sam chodzi po chałupach?

— No pewnie! — wolno otworzyła usta i smutnie — pieszczotą oczu uśmiechnęła się do niego.

— A dzisiaj taki wiater...

— To nic! Święty Mikołaj jest grubo ubrany i... i wszystko ma, nawet parasol.

— Tak! tak! — szepnął cicho Michaś i znowu przykleił twarz do wiatrem płaczącej szyby.

Za chwilę matka rozścieliła łóżka i odkładając na stół białe płótno, rzekła: — No, Michaś, Franek! spać!

— Już? — wytarł wilgotne z radości oczy Franek i capnąwszy Murgę na ręce, rzucił go na pulchną, wzdętą nadmiarem piór pierzynę. Wolno odkleił palce od chłodnej szyby Michaś i w chwiejących się oczach przytrzymując latającą izbę, podszedł do łóżka... — Chodź! — skinął na Franka. Uklękli i złożywszy ręce, szukali na obrazie oczami litosnego uśmiechu Pana Jezusa. — Anioł Pański zwiastował Pannie Marji — szeptem rozpoczął Michaś, a Franek grubo, niewyraźnie przeciągał końcówki.

— Jej! znowu się Franek pomylił przy »wieczne odpoczywanie«. On tak zawsze — pomyślał Michaś i uśmiechnął się do swoich myśli. — I tak dobrze! Wczoraj usnął przecież przy końcu. — Wstrząsnął silnie głową i ramionami — i naciągając brwi z uwagą, głośno kończył pacierz.

— A teraz za ojca — rzekła matka i głasnęła miękko Franka po włosach.

— Panie Jezu Najświętszy, Ty, co wszystko możesz, spraw, żeby nasz tata wrócił do nas z powrotem, bo przecie wiesz, że mama i ja i Franek męczymy się tutaj bez niego...

— Co ty, Michaś? — szarpnęła się plecami do tyłu matka. Przeżegnał się i podniósłszy się z klęczek, szepnął: — A bo, czy my się nie męczymy? Przecie wiesz. I odkąd ojca niema nawet święty Mikołaj nas omija. Tak! akurat od dwóch lat.

Popatrzył na matkę i zobaczył, jak prędko uciekała od niego oczami. Później zgasiła lampę i po kilku słowach ciemna cichość usiadła na stole, na krzesłach, na ziemi... Franek odwróciwszy się do ściany, cichym oddechem podnosił pierzynę ku powale.

— Śpisz? — spytał Michaś.

Ani słowa ze strony Franka. Przytulił się przeto oczami Michaś do poduszki i po chwili już widział świętego Mikołaja: — Joj! joj! i mnie choć książkę z obrazkami! Nazywam się Michaś Lipiec, mam lat 7 i chodzę na drugi stopień. Matkę tylko mam, tata daleko we świecie. Joj! joj! Frankowi czekoladkę, mnie nie! mnie książkę. Szedł stary, dobry święty Mikołaj. Włosy siwe na plecach, na piersi długa siwa broda, podrywana wiatrem, biały płaszcz do stóp, w środku złoty pas i z obydwu stron anioły. Oj! oj! nie omijaj nas! My mieszkamy na końcu wsi — ja, mama i Franek, święty Mikołaju!? — Przewrócił się na krzyż i rzuciwszy w przestrzeń marzenie, wbił się ostro oczami w ciemność.

— A może już idzie? Ignacowe drzwi naprzeciw, a do niego napewno.. Przecież Ignac mówił: kilo cukierków i książka z obrazkami. — Wyskoczył z łóżka i lekko dotykając ziemi palcami, zręcznie ominął stół i krzesła. Wiatr naprzemian, to darł pazurami po szybie, to świszczał, turkając się śniegiem po zmarzniętej ziemi, to znowu, jak dziecko płakał, miękko palce do szkła przyklejając.

— Jaki wiater! joj! — oparł Michaś chude łokcie o zimny parapet. Sykotały drzewa za oknem. — Joj! Już dwa lata u nas nie byłeś, a my się tak męczymy... Ignac ma nowe palto i czapkę, a ja?...

Zadudniło nagle w kuchni — i Michaś ze strachu przysiadł w kucki koło ściany... — Może już! — szepnął i na kolanach przyczołgał się do drzwi. Przez kilkanaście sekund czekał, ręce jak do objęcia wysunąwszy do przodu.

— Ja książkę, a chyba, jak masz i cukierki!... — Cicho odchylił drzwi i prędko poleciał w przód oczami... — Joj! Jezu! — Na krześle siedziała matka i zaczerwienione oczy utkwiwszy w białem płótnie, przewtykała igłę tam i napowrót, tam i napowrót. Nad jej pochyloną głową mrużyła żółte ślepia lampa.

— Mamo!? — krzyknął Michaś i skoczył, odbiwszy się głucho od ziemi, jak pęknięty balon.

— Co to? Co to? A ty czego nie śpisz?

Zadusił się żałosnym kaszlem: — To i dzisiaj nie przyjdzie święty Mikołaj do nas! A my się tak męczymy...

Przetarła zmęczone oczy i prędko pociągnęła go ramionami do siebie: — Nie płacz! Jutro odniosę koszule na plebanję, dostanę pieniądze, kupię suszonych śliwek i ugotuję kaszę ze śliwkami... A ty to tak lubisz!...

— Tak! tak! ale ja tylko książkę z obrazkami... My się tak męczymy...

Michaś — i jego płacz — leżeli długo na podołku matki.